



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGA WĘDKA.

Opuściłem na dni kilkanaście Warszawę, opuściłem dla dwóch powodów. Pierwszym było pragnienie odetchnięcia świeżym powietrzem wsi, chęć odświeżenia się choć na krótką chwilę od gwaru miasta, zanurzenie się w zieloność pól i lasów sosnowych, pozostania samemu z naturą tylko i, jeśli słuchać—to jej głosów, jeśli napawać wzrok—to tylko jej pięknościami.

Cel jednak mojej wycieczki nie był samolubnym weale. Nie myślałem tylko o sobie, o zapomnieniu o wszystkim co mnie otaczało, słowem, nie miałem na myśli owego *dolce far niente*, które czasami ma rusańczane powaby i tak rozkosznym, pieścimy, tak nęcącym głosem przemawia do ciebie. Przyznam się jednak do grzechu, jeżeli to jest grzechem, że nieraz czuję pragnienie jakiegoś wielkiego spokoju, niezamąconej niezem ciszy, nieprzerwanej przez nikogo samotności. Ale to jest pragnienie tylko, za życia nieureczywistnione.

Opuszczając więc Warszawę nie miałem na myśli tego pożądanego spoczynku, a jakkolwiek od spraw codziennego, niepowabnego zresztą życia oderwać się chciałem, to nie koniecznie myślałem tylko o sobie, lecz i was szanowni czytelnicy moi miałem na względzie. I to był powód drugi, bodaj czy nieważniejszy od przytoczonego na wstępie, że się o mil kilkanaście oddalił od Warszawy.

Tak—myślałem o was i—jeśli pragnąłem wrażeń jakich doznać, to dlatego, żeby się ich cząstką i z wami podzielić, a jeśli wrażenia były za ubogie, jeśli za mało zebrałem kwiatów—nie moja w tem już jest wina: może świat coraz więcej bezbarwnym się staje, może zawcześnie czy zapóźno na kwiaty.

Otwarcie się przyznaję, że znużył mnie ruch miejski, znużyli ludzie, ich głuźstewka i myśli ślimacze, marzeńka lillipucie, trzepotanie się ich skrzydełek tuż, tuż nad samą ziemią.

Obawiam się, aby mię kto nie posądził o wiek—krytyczny, o dojście do tej fatalnej granicy w życiu, poza którą rozpoczyna się—starość.

— Nie tak *in illo tempore* bywało—zaczynasz acań śpiewać?... Hm—żele!...

I wzrok ciekawski przebiega wzdłuż mojej głowy, patrzy, czy czasami pasm srebrystych nie dojrzy.

— I cóż mój badacz—dostrzegłeś?

— Tak—coś niby...

— Nie cofaj słów, bo mi ten twój domysł jest bardzo na rękę, i śmieję tę twoją piosnkę zaśpiewam. Cóż chcesz, przecie postępowi ludzkiemu nie zaprzeczę, widzę ogrom wiedzy, który się przedemną rozciąga, szybki poehód rozumu ku niedoścignionym dawniej granicom, ale cóżem winien, że to wspaniałe słońce nie grzeje dotąd i, że pragnę ciepła, czasem pierś ludzka poza siebie się obraca i nagle ją owionie jakieś technienie ożyweze i każe o czemś lepszym pomyśleć, do czegoś—zapomnianego już—westchnąć.

I ja tak westchnąłem, westchnąłem pełną pierśią; owionęło i mnie jakieś technienie lat dawnych.

Co to było? widzenie jakies?

Tak! Pisząc te słowa widzeniem mi się to zdaje, bo trwało krótko, bo przeszło szybko, bo znów mnie otoczył gwar miasta i tłum ludzi śmiejący się z przestarzałych, prowincjonalnych zwyczajów, którymi jeszcze gdzie nie gdzie wieś oddycha, otoczona lip konarami i ciszą zielonych pól.

Przedstawcie sobie dom stary, o dachu wysokim i murach grubych, nakrytych baldachimem drzew rozmawiających szumem swych liści z cichym szmerem dalekich łąków i stawów poważnym gwarem.

Słońce już zaszło, zostawiło -jenu pas ponsowy na skłonie nieba, jako świadectwo bytności swojej. Z daleka do uszów twoich dolata namiętny skrzekot żab, przed tobą wionął bocian rozwianymi sztandarami swych skrzydeł i usiadł na gnieździe, które przed laty, przed laty, praojciec jego może uwił na wyniosłym słupie topoli. Suchy klekot rozległ się w powietrzu, z gniazda odpowiedział głos drugi: to wierna małżonka bociana wita przybysza, który z nad łąk gdzieś wrócił i opowiada jej o łowieckiej wyprawie. Coraz ciemniej, ponsowy pas na zachodzie gaśnie;—bociany do snu się ułożyły, rozmazone coraz wyraźniejszym lip szumem.

Powietrze upaja ciebie wonią...

To pachną bzy.

Dawno niesłyszane dźwięki do uszu twych doleciały...

To śpiewają słowiki.

Rozkoszny, majowy wieczór!...

W starym dworze czerwone zabłysły światła, blask padający z okien łamię się o słupy ganku. Dom piętrowy, bo kilka jasnych kwadratów u góry widzisz i lekko kołyszące się u okien zasłony.

Nie dziś, nie wczora jednak stanął ten dom, nie od razu nawet wzniosła go ręka budowniczego; rozszerzał się, rozrastał, w miarę jak się rodzina zwiększała, nie zachwyca ciebie pięknymi architektonicznymi lhnjami, ale poznasz od razu, że na wygodzie ci niezbraknie, że i dla zagórskich gości ława zawsze się znajdzie.

Ot, słowem, stary, dawny dom szlachecki.

Ba! lecz nie znasz mieszkańców jego. Jesteś pewny, że na twoje spotkanie nie wyjdzie Gierwazy, że nie pociągniesz za sznurek kurantowego zegara. Nic tam już nie znajdziesz z dawnych obyczajów czy zwyczajów, a jakkolwiek z zewnątrz dom patrzy starością, wewnątrz wszystko inaczej być musi wedle wymagań wieku i mody. Zatrzymujesz się przed gankiem, wysiadasz z powozu, nastrajasz

twarz do uśmiechu i ucho do zdawkowej na grzeszność odpowiedzi. Z lekkim sercem wchodzisz do dużej sieni, choć—jeżeli odrobinę jesteś poetą—pragniesz znaleźć nie to, czego się spodziewasz.

Ale—któż to cię wita?

Poważny, wysoki starzec o brodzie siwej, otoczony rodziną, która wyszła na twoje spotkanie, wiedząc, że dziś właśnie przyjeżdżasz. Otacza cię atmosfera jakaś inna, coś, czegoś się ujrzyć nie spodziewałeś. Obey, stajesz się odrazu znajomym dobrze, z jednej ze ścian jadalnego pokoju spoziera na ciebie postać cesarza Napoleona I. Wsunęty we framugę zegar szafowy za pomocą wag nakręcany, poważnym głosem wydzwaniania godziny; ze ścian do ciebie śmieją się wążasze, widać, że dobrze im tu jest; odnajdujesz i rogi jelenie i sprzęty o wysokich poręczach i dawną powagę i gościnność dawną.

Nie wiele już jest domów takich. Duszą zaś jego jest ten starzec siwy. Gdyby go nie było, musiałbyś w myśli swojej tę postać wytworzyć a nie mógłbyś pomarzyć o domu takim—bez niej.

Zapoznałem się prędko i doznałem uczucia jakbym w inny, lepszy świat się przeniósł.

Był piątek—więc dzień postu, był miesiąc Maj—więc jeden z dni modlitwy do Maryi Panny.

— Pan z nami? — odezwiała się jedna z córek szanownego gospodarza.

— Oczywiście, że z wami.

Udaliśmy się wszyscy do jednej z komnat, gdzie był ubrany ołtarz, z którego patrzyła słodka twarz Paniutki Czesłochowskiej. W pokoju tym już czekała służba domowa i folwarczna i dziatwa ze wsi przybyła. Pani domi, starszka siwa zaczęła modlitwę.

— Kirye elejson.

— Chryste elejson—powtarzaliśmy wszyscy.

— Zmiłuj się nad nami—brzmiało zgodnym chórem.

A później pieśń zabrzmiała nieuczonych głosów, lecz serce wspólną i wielką miłością złączonych.

I owionęło mnie technienie z daleka z kądes płynące i czułem łzy na oczach i tłumilem pierś wzbierającą westchnieniami.

Czy dziś się tak wszędzie modlą? czy wszędzie rozumieją moc i konieczność takiej modlitwy?

Prawda — zabytek to dawny, rozum dziś zabił wiarę.

A jednak?

Czułem, jakby krople orzeźwiającej rosy na serce mi padły i zwracam się do was, panie, który dom swój i czeladź macie, nie zapominajcie o modlitwie takiej, bo ona odkupi grzechy nasze, ona jest mostem łączącym dwa światy.

Wiele, bardzo wiele mógłbym wam coś o tem powiedzieć, i wiem, że w was opornych nie znalazłbym słuchaczy, że zrozumielibyśmy się dobrze. Ale i bez domówień zechciejcie mnie zrozumieć.

Jeżeli był dobry, wróciłem lepszy i postawiłem przed oczy wam obrazek widziany, na który nie jeden się uśmiechnie i niezrozumie na czem jego piękno polega; po kilkunastodniowym odpoczynku w gościnnym domu, dziś już moich dobrych przyjaciół, wróciłem do zwykłych zajęć i do zwykłej gawędy z wami. Dobrze mi tam było, zapomniałem o całym świecie. Nie kusiły mnie książki, ni gazety, dałem folgę pragnieniu odpoczynku i nie widziałem nic co tam do koła mnie się dzieje.

Lecz ze snów pięknych rozbudzić się człek musi.

Wziąłem się do dzienników.

Kłęski, kłęski i kłęski...

Co chwila dowiadujemy się o jakimś pożarze: tam dwór spłonął, tam wszystkie zabudowania gospodarskie, tu jedna i druga wieś poszła z ogniem, nareszcie hijobowa wiadomość o Brześciu Litewskim dopełniła ogromu nieszczęść.

Całe miasto, niedawno ludne i gwarne legło w popiele. Kilkanaście tysięcy ludzi bez dachu i chleba czeka zmiłowania serce litościwych; ale jak tu zarządzić temu ogromowi nieszczęścia? Jedna z piekarni warszawskich przesłała biednym pogorzalcem tysiąc funtów chleba, znajdują się i inni ofiarodawcy,

którzy poszła i chleb i pieniądze—ale ta pomoc dozna nie zabezpieczy strasznej przyszłości tych, co stracili wszystko w pogorze. Krew ścina się w żyłach, czytając opisy tej grozy pożarowej. Według ostatnich wiadomości sto przeszło ludzi znalazło śmierć w płomieniach; ogień się szerzył z taką gwałtownością, że doganiał uciekających, porywał ich w swe straszne objęcia dusi i palił.

Przy tej klęsce, której ofiarą tysiące ludzi padło, inne maleją, choć nie przechodzą bez wrażeń; są to, jakbym powiedział oderwane dźwięki w posępnej muzyce, które wtrząsającym akordem się kończą. Codziennie prawie donosiły nam dzienniki o mniejszych lub większych pożarach wsi, osad i domostw, na finał rozległ się okrzyk:

— Brześć Litewski w popiołach!

W miasteczku Koprzywnicy i wsi Cegieli pod Sandomierzem spaliło się 206 domów i 219 zabudowań gospodarskich. W istnem morzu ognia znalazły śmierć 4 osoby, nie licząc poparzeń i okaleczeń. W płomieniach zginęło również mnóstwo inwentarza żywego; obowiązkowa assekuracja wynosi 77,870 rs. strat zaś jest przeszło na pół miliona. Bez dachu i środków do życia pozostało 400 rodzin.

W porównaniu z temi klęskami niepostrzeżenie prawie mijają doniesienia takie naprzykład, że w nowogrodzkim powiecie „pastwą ogromnego pożaru stał się majątek Zamieze. Wszystkie zabudowania z wyjątkiem domu mieszkalnego, spłonęły doszczętnie. Ofiarą ognia padło 300 owiec, kilkadziesiąt sztuk bydła i koni, mnóstwo różnych narzędzi gospodarskich, zapasy siana i t. d. Straty są olbrzymie. Ubezpieczone budynki na bardzo niską cenę.“

Tego rodzaju doniesienia są tylko oderwanymi tonami wielkiego koncertu klęsk. Nie ochłonęliśmy po ciężkiej wieści o brzeskim pożarze, a już drut telegraficzny zawiadamia nas o wielkich pożarach w Galicyi.

— Pomocy! — dochodzą zewsząd głosy błagalne.

Odzienia i chleba potrzeba na dziś, na jutro, na pojutrze.

Mimowoli ku wsi wzrok posyłamy, i zapytujemy:

— A jak tam?

— Zboże zupełnie liche lub całkiem przez słońce spalone; od ostatnich śnieżnych roztopów nie było deszczu jednej kropelki. Na posiewy w zimie nie ma co liczyć, w wielu miejscach przeorano zboża, nadzieja cała w jarzynach spoczywa, jeżeli niebo się zachmurzy i lunie deszczem obfitym.

Deszcz padł, ulewny nawet, ale chłód przyniósł z sobą jesienny, nie życiodajne ciepło. Poprawiły się jednak humory panów gospodarzy, poprawiły się o tyle tylko, że może zapłacą raty Towarzystwa, może końce z końcami zwiążą, może odgonić potrafią wiszące wciąż nad nimi widmo subhasty.

— Może..!

Wiemy co ono znaczy, wiemy jakie są sny spokojne z tem—*może!* To *może*, bodaj czy nie jest gorszem nad pewność wszelką. Złudzenia prysnąć muszą i żal nas ogarnia, żeśmy się unieść dali złotymi pozorami nadziei. A jednak kto wie, czy te złudzenia właśnie nie stanowią szczęścia, nie są jedynym dobrem człowieka, czy bez nich przeżylibyśmy jedną chwilę, czy choć raz jeden weselej uśmiechnęłyby się usta?

W wielu razach nauka chciała nam dać *pewność*.

I cóż?

Każdym razem coś umierało w głębi naszego serca i kładł się tam smutek niezmierny i wyciągaliśmy znów ramiona do złudzeń.

Zmieniam zdanie: nad pewność złego bodaj czy nie lepsze o dobrem złudzenia.

Protestuję tylko przeciwko ich bezmyślności—powinny zawsze mieć poza sobą choć słaby cień możności, by nie przemieniły się w jakieś *delirium* umysłowe.

Wkrótce nam kwiatów będzie potrzeba, pięknych, wonnych kwiatów.

Któż się w nie ustroi i dlaczego?—spytacie.

Potrzeba zasilić fundusze Warszawskiego Towarzystwa Dobroczyńności, ubiorą się więc landa i koczobryki panów w lilje, powoje i róże.

Aa—corso!

Tak—projektowane corso dochodzi do skutku. Przed tygodniem właśnie odbyło się posiedzenie członków wydziału dochodów niestałych wymienionej powyżej instytucji i postanowiono urządzenie corso na dzień 8 go Czerwca. Żywe i umarłe kwiaty posuwać się będą alejami Ujazdowskimi, Szucha i Bagateli—a wyjazd rozpoczyna od placu Trzech Krzyży. Dla widzów urządzone zostaną w różnych miejscach trybuny. Nagród będzie dziesięć w formie chorągiewek ozdobnych.

— Ja znajdę się tam z obowiązku kronikarza, ale przed tem i to z większą ochotą udam się na wystawę etnograficzną, której zarząd powziął myśl godną uznania, spopularyzowania w sposób poglądowy wiadomości o urządzeniach mieszkań ludów rozmaitych. Na początku zapoznamy się z wewnętrznym porządkiem siedziby greckiej. Urządzeniem tej helleńskiej komnaty, zajął się p. W. Gerson, wypełniając ją stylowymi sprzętami i dziełami sztuki. Na ten wdzięczny obrazek z życia domowego dawnych Greków, złożyła się sztuka dekoracyjna, połączona z malarstwem i rzeźbą. Widzimy więc salę biesiadną wspartą na kolumnach doryckich, pomiędzy którymi witaają cię postacie gości, rzeźbione przez p. Maryę Gersonównę. Pomędzy przedmiotami znajdującymi się w owej sali, zajmują twoją uwagę, niektóre wielkiej nawet wartości, antyki, jak: starożytna amfora, lichtarz bronzowy z lampą i wielki piękny wazon koryneki. Przedmioty te pochodzą ze zbioru J. Kolasińskiego, uzupełniły zaś je, dostarczone przez Gersona i Szpadkowskiego, z muzeum rzemieślniczego i z dawniejszych zbiorów wystawy. Piękne widoki w oknach i obrazy wiszące na ścianach, są wykonane przez p. Wojciecha Gersona, załość zaś przedstawia się niezwykle efektownie i ze względu pedagogicznego nie mało znaczenia posiada. Czy nie wartoby jakiego corsa urządzać dla rozszerzenia i wypełnienia tej pożytecznej wystawy? Jak myślicie, Szanowni państwo?

— A co powie *Towarzystwo opieki nad ubogimi matkami i ich dziećmi?*

Mój Boże, wszystko kołacze do ofiarności publicznej. To dziwne jednak, że stosunkowo do zamożności, najwięcej dają mający najmniej. Czyż bogactwo psuje i pancernem nieczułości pokrywa serce Krezusów? Widocznie tak jest, przecież nam i Chrystus coś mówił o wielbłądzie i uchu iglicy. A przecie najgłośniej wyznają tego Chrystusa ludzie, spoczywający na skarbach.

Kogo oni oszukać pragną—siebie czy Boga?

Dziwne nieraz są te sumienia bogaczy, ale nie oni jednak, ci pieszczoszkowie fortuny są zrenicą świata choć na pozór świecą i błyszczą.

Biedne matki i biedne dzieci potrzebują pomocy. Z powodu wciąż zwiększających się wydatków, materialnego interesu Towarzystwa znajdują się w nieświetnym stanie a tu codziennie biedactwo kołata do wrót opiekuńczych.

Tych biednych matek i dzieci jest przeszło 200, którymi Towarzystwo opiekować się musi, dać odzież i pożywienie. Jakkolwiek dobroczynna ta instytucja ma dom własny przy ulicy Hożej, ciężary jednak spoczywające na tej własności, w budżecie rocznym Towarzystwa nie małą stanowią rubrykę. Towarzystwo na utrzymanie swoje potrzebuje rocznie (wiadomości są z pism codziennych czerpane) około rs. 20,000, tymczasem dochody t. j. ofiary, składki i t. p. sięgają zaledwie połowy tej sumy. Celem zasilenia funduszy, rzeczona instytucja urządza loteryę, zabawa ta jednak nie pokryje wszystkich koniecznych wydatków,—otwiera się więc znów pole dla ofiarności tych, którzy mają dach spokojny nad głową i zapewnioną strawę.

Do różnych zgonów, które zanotowaliśmy w czasach ostatnich, przybywa znów jeden. Nie małą ponieśliśmy stratę na polu wydawniczo-księgarskim, przez śmierć ś. p. Tadeusza Paprockiego. Był on człowiekiem prawym, kochającym zawód i oddającym się mu z zamiłowaniem i znajomością. Cieszył się ogólnym szacunkiem, miał wielu przyja-

ciół, to też tłum liczny odprowadził zwłoki jego na miejsce wiecznego spoczynku, a pan Boguski mówiącą piękną pożegnał z niego człowieka i dobrego przyjaciela.—I my, osobiście mamy o nim wspomnienia tylko dobre.

??

Z WYŻYN.

Na ziemi różnie bywa: podmuch wiosny młody
Odmiada duszę ludzką i duszę przyrody—
A kiedy jesień zedrze z pól wonne kobierce,
Rzuca mroki na ziemię, a smutek na serce.

Czasem z wyżyn nadejdzie groźna wichrów burza,
To znowu blask słoneczny z za chmur się wynu-
To huczą dnia jasnego okrzyki i gwary, [rza.
To znowu w ciszę padnie wieczoru mrok szary.

A ponad obłokami, ponad chmur osłoną
Słońce wiecznie przyswieca twarzą rozjaśnioną,
A chociaż grom tam bije, chociaż huczą burze.
Ono daje rozkazy tej groźnej naturze.

Takie słońce też świeci na wyżynach ducha,
Każda myśl i serc drgnienie pokornego słucha—
A gromy ma pod sobą, a wichry za gońce,
A w sobie blask i żary posiada to słońce.

Więc z wyżyn, jak Bóg, włada nizinami ziemi
Swych gromów i swych blasków mocami

[wszystkiemi—

A tych, co lotem skrzydeł ku niemu się wznoszą
Oblewa barw uroczych i ciepła rozkoszą.

Któż jej nie zna—tej górnej krainy słonecznej,
Co ponad znikomością wznosi byt swój wieczny?!
Do niej w chmurach łączy ziemi wzlatają pomału—
To ojczyzna genjuszów—to kraj ideału!

Antoni Pilecki.

W CODZIENNEJ WALCE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

St. Ariel.

(Dalszy ciąg).

Północ minęła—Joasia nie zmrużyła oczu mimo zmęczenia.

Znajdowała się oczywiście w dawnym alkierzu, na własność oddanym; była pod rodzicielskim dachem upragnionym—mimo to radości nie doznawała, sen pierzchał.

Noc ezerwowa, jasna, ledwo pół mrokiem świat przymiewająca, pozwalała rozeznawać dokoła

przedmioty, lecz ona nie widziała nie słyszała; nawet woni jaśminów, przez otwarty płynącej lufcik, nie czuła.

Przed oczyma jej przesuwają się tylko obrazy nagromadzone w umyśle dnia tego, a z barwą i życiem, wyraźne, nie jak szare cienie nocy:

Matka znękana i poniewierana.—Siostry strojne w różowych sukniach, a swarzące się o pończochy, których jedną parę całą na sześć nóg miały... Ojciec jak by ślepy, głuchy...

Brat krzywy, zimny, docinkowy...

— O więc na to się cieszyła? na to! — powtarzała, czując że dom, do którego śpieszyła z otwartymi rękoma, wcale na jej przyjęcie ramion nie rozłożył.

Smutek okropny za serce jej chwycił—wybuchnęła płaczem. I płakała, płakała, aż głowę chowała w poduszkę.

Nie byłaby zgola umiała powiedzieć, czemu te łzy płyną, a jednak płynęły. Wreszcie i w tęsknocie za Adamem nowy powód rozżalenia znalazła: — „bo i z kimże tu choćby porozmawiać o nim?!...“

Po jakimś wszakże czasie ucisk na sercu jej zelżał.

Siadła na łóżku, rozejrzała się dokoła, jakby mimo wszystkiego chciała zbratać się z temi kątami.

Jakoż ta niezwykła jasność nocy, wzrok zadziwiająca, poczęła w duszy jej budzić niewyraźne, lecz miłe wspomnienie, zrazu tylko majaczące.

I pomyślała nagle:

— O... w taki biały wieczór ezerwowy, gdy nam świeżo wypchali sienniki, to kładliśmy się wcześniej spać i probowali komu siano chrząści najgłośniej...

A potem oczyma utknęła na ciemnej twarzy wizerunku Czeszochowskiej Maryi.

— Gdy byłam mała, to liczyłam szkiełka tu w złoczonej koronie, przekonana, że to prawdziwe brylanty...

— Oh!... ale to dawno temu... bardzo dawno! — dodała z westchnieniem.

Owa epoka dzieciństwa naraz wydała jej się ogromnie oddaloną, tak dalece, jak gdyby ten dzień zupełnie odciał przeszłość, — niby wielka, szeroka rzeka. A jeszcze rankiem, jadąc wcale tego nie uciewała—rzecz dziwna!

Raz drugi wzrok podniosła, zahaczyła na obrazie—i zsunęła się bezwiednie z łóżka na ziemię, bosą, bielizną tylko okryta. Na kolanaach się przygięła.

— O! nie opuść mnie!... Pobłogosław, Najświętsza Panno!—zawołała w gorącej prośbie.

Po chwili, już zupełnie uspokojona, podeszła do okna, roztworzyła je na oścież, głowę na ręce wsparła, i patrzeć zaczęła przed siebie.

Patrzyła w łagodny błękit nieba złotymi oczyma gwiazd połyskujący, — w ogród gąszczem drzew utkany, w krzewy jaśminu kwiatem bielejące, jak płatami śniegu, — i wsłuchiwała się w odgłosy, które dotąd pomijała bez uwagi: w rechotanie i różnotonne kumkanie żab, w zmieszany świegot nocnego ptactwa, z górującem nad innymi zawodzeniem słowika, artysty...

Słuchała—słuchała—coraz głębiej w duszę wdychając dźwięki, coraz silniej w pierś wdychając woń i świeżość... Aż zwolna, zwolna — zapomniała o smutkach, łzach, braciach, siostrach, wspomnieniach, stała się jedną struną więcej grającą w ogólnej muzyce natury — złała się poprostu w jedno ze światem pełnym sił, młodości, czaru, nieuchwytniej, a upajającej rozkoszy, — ze światem, który życiem drgał, a spokojny był, uroczysty, jak gdyby wstrząsał nim tylko szept niewypowiedzianych tajemnic, przepływający na skrzydłach powiewu, który nieznacznie potrącał gałązką i kwiatem... I rozplakała się teraz z uciechy, żalu, miłości, tęsknoty—ani wiedząc, ani pytając dla czego...

Ale też były to ostatnie łzy dziecka, jakie z oczu Joasi spłynęły. Zmyły więc z duszy jej wszystko, co było za młodem jeszcze, za rozmarzonym, za tkliwym, na rzeczywistość życia niedość hartownem i przygotowanym.

Gdy wstała rankiem i spojrzała w ogród po dniu pełnym zieloności, wesela i słońca, poczuła się trzeźwą, do pracy gotową, jak wszystkie jaskółki, które

brzask dzienny dawno zapędził do zbierania żywności i gniazd naprawy.

II.

W dni kilka Joasia weszła do jadalnego pokoju przed wieczorem, gdy pan Wiktor sam siedział.

Na twarzy jej malowała się powaga pomieszana z nieśmiałością, trwogą, a gorącą jakąś chęcią, blaskiem bijącą z oczu.

Dobrze miała ona w pamięci obawy, jakie rodzice żywili przed oddaniem jej do Warszawy. Nie chciała zatem popaść w podejrzenie, iż rządy zagarniać pragnie i reformy zaprowadzać. A milczeć nie mogła i czynu pożądała; za obowiązek zaś poczytywała sobie odwołanie się do zwierzchniej władzy ojca, jakkolwiek już poznała jego chwiejność i nieprzebiegłość.

— Mój ojcze, chciałyby z tobą pomówić — zaczęła tedy podchodząc blisko. Miałabym nawet dużo do pomówienia... tylko, czy zechcesz mnie słuchać, tatku?

Pan Leski zrazu spojrzął na nią, jak na brzęcząca muchę; i dopiero doczytawszy przerwane zdanie, dziennik złożył, i zdjął okulary.

— Ależ owszem, owszem... dla was jestem zawsze gotów moje dzieci, — rzekł, przybierając pozę oczekującą.

— Bo... proszę ojca... ja chciałyby więcej być wam użyteczną, — podjęła dziewczyna drżącym, urywającym głosem. — Z początku układałam sobie, że przedewszystkiem będę uczyć siostry i pomagać matce... Widzę ją tak słabą i znękaną.

Tu siwe oczki pana Wiktora poczerwieniły i zwilgły. Pomyślał, jak był gotów nawet ciałem z palców strugać byle żonie dogodzić, a trudów oszczędzić jej nie umiał.

— No, ja myślę — że gdy wyręczysz matkę tyle, żeby choć kwadrans posiedziała na miejscu, i gdy zajmiesz się dziewczynami, to czegoż chcesz więcej, moja droga?—powiedział, stłumiwszy rozrzewnienie.

— Nie, to za mało!—przerwała Joasia.—Ja mogę zrobić o wiele więcej!... Mnie się wydaje czasem, że i ojcze ma strapienia... Sam jeden pracuje—nas tak dużo—siostry powyrastały — potrzeby zwiększone,—mówiła waząc każde słowo, by nie urazić ojca.

Pan Leski zaś spojrzął na nią znów oczyma zaszklonemi, z roztkliwienia czy wdzięczności. Bo mimo całej filozofii, pokory i obojętności dla swej doli, nieraz czuł ucisk wielki i ciekawcem przyznawał przed sobą, że jednak wszelkie ofiary lekko waży i do obowiązków żadnych się nie poczuwa.

— Dobrze więc, moje dziecko,—rzekł poczynając kręcić młynka palcami dla pokrycia zakłopotania.—Dobrze—ale co ty zamierzasz?

Joasi drgnęło serce, jak wobec zwycięstwa. Na bierała śmiałości.

— Już nie o lekcjach myślę, bo Anielka Różnicka powiedziała mi, że kilka panien z patentami gimnazjalnymi osiadło tu od roku i wszystko zabrały, — tłumaczyła. — Zresztą będę musiała kilka godzin dziennie poświęcać nauce siostr, więc wolę zatrudnienie inne, w którym i one wezmą udział—chciałyby zająć się ogrodem.

— Ogrodem? A co ty możesz na tem zbudować?—zapytał zdumiony pan Leski.

I z całą tchórzliwością swej natury, bojącej się nawet pośrednio czynu i ruchu począł jej przekładać, że ziemia tam cienka, gliniasta, ledwo coś nie coś urodzi; że przytem sąsiedzi łamią, kradną, wykopują, więc grosza nakładu nie warto. Ze wreszcie gdy sad odbierze Moskowi, to i tych dziesięciu rubli, które żyd za jabłczyny płaci, oglądać nie będzie i sama nie stworzy.

— Bo widzisz, moja kochana, potrzeba na to czasu, pieniędzy, i mnóstwo pracy — mówił w końcu.—To nie tak pójsz sobie na spacer, siąść na ławecce i patrzeć na wesołe wróble.—Ale Joasia nie dała się już tak łatwo zbić z toru.

Przedewszystkiem pomyślała, że Moskwa natychmiast z sadu usunie, bo owe dziesięć rubli, które za owoc płacił niezawodnie w trójnasób odbierze, inną drogą szukając zbytu. A ojcu przypominała jaką wagę w jego oczach miały rady i zapatrywania pa-

na Morskiego, i jego argumentami wnet własne chęci popierała poczęła.

— Mój tatko, wuj Kazimierz twierdzi, że to zbrodnia, to najwyższa ślepotą to nasze lekceważenie ziemi, bo każdy jej zagon skarb, to grunt pod nogami. I mówi wuj, że kto posiada choćby sto łokci, to powinien na nich warsztat zakładać, bo tej podstawy ani ogień nie zniszczy, ani woda ani czas! — przekładała z zapalem.

— A gdyby był ojciec przytem słyszał, jak nam profesor przedstawiał o ile możemy podnieść przemysł krajowy, jak wpłynąć na zdrowie ogółu rozpowszechnieniem uprawy owoców, jak nawet sam kraj możemy uczynić miłszym dla oczu i serca — o, gdyby tatka słyszał, to z pewnością musiałyby uwierzyć, że to nie jest tak marna praca, trudu nie warta, — dodała już z duszą nie tylko z przejęciem.

Pan Leski zabębnił palcami razy parę po stoliku — i głową kiwał. Nietrudno było zachwiać go w zdaniu, które zawsze stawał jedną nóżką.

Jeszcze wszakże to i owo nadmieniał, ale Joasia nadziei swych i ochoty rozbić nie dawała.

— Zobacz, tatka, za parę lat, zobaczy! A gdy ja rozpocznę, poprowadzi Helcia... Ale! miałam i o tem pomówić, — zwróciła żywo do innego przedmiotu, — że Helcia bardzo nisko jest w naukach na rok szesnasty, że przytem próżniak trochę, a do strojów i zabawy ma chętkę, więc tem bardziej trzeba by ją pożytecznie zająć.

— Hm!... nie głupia dziewczyna! — w duchu zauważył pan Wiktor. I, wywany nieco z umysłowego osłupienia, też na uwagę się zdobył:

— A tak, tak... prawda! Miarkowałem i ja, że Helka lubi pieniądze na fatalaszki puszczać; bo to wyłudzi przez matkę ode mnie rubla, to dwa, a zawsze na bluzkę, na rękawiczki... Lecz się nie odzywam, nie chcąc matce sprzeciwić...

— Ale powracając jeszcze do moich zamiarów, — śmiało podjęła Joasia — wszakże do nas należy ten kawał gruntu za rzeczką, po drugiej stronie?

— Ano... tak — tak.

— Więc będzie ziemi blisko pięć morgów razem? Toż to bogactwo, mój ojcze!... Ach, jak się cieszę! jak się cieszę!... Więc to nasze te kartofle i kapusta?...

— Nie... nie nasze...

— A czyż? ..

— Johana Krebsa...

— Wydzierzał mi tatka?...

— Nie — nie... Tak mu *sobie* pozwoliłem.

— Dla czego?...

— Mówię ci, grunt zły tu, zły tam. Mnie przytem by kradli, a Krebs ma o miedzę żyto, ma pod nosej chatę, a Krebsiaki całe stado. Ciągłe wysłepiają, prędzej dopilnują...

Joasia zamyśliła się.

Postać od lat kilku osiadłego w sąsiedztwie kolonisty, o tęgich barkach, a twarzy brzydkiej, ospałej, ale z bystro zerkającymi oczyma, żywo stanęła przed nią jak odmalowana w niebieskiej bluzie i ze skórzanym fartuchem u pasa.

Widowała go często, jak orał, kopał, grodził, taczkami lub wozem śmiało drogę jej zajeżdżał, nie mitrząc przy robocie ani chwili. Doświadczyła też przez moment wrażenia, jak gdyby i teraz jakąś zapórę znalazła przed sobą.

Mimo to wnet szepnęła w myśli:

— O, ja tam tego nie daruję!...

I ze zdwojoną skwapliwością poczęła dopytywać, czy będzie jej mógł cośkolwiek przeznaczyć na nakład w ogrodzie.

— Wiem, że nie można wiele, — dodała śpiesznie, postrzegłszy pomieszanie ojca. — Ale sądziłam, że gdy ja... że pieniądze na nauce siostr oszczędzone, możnaby na ten cel obrócić. — Zakończyła cicho, naraz spłoszona obawą, by ojciec nie posądzał, że zapłaty żąda, albo się targuje.

Pan Wiktor tymczasem poruszył się, aż fotel zatrzeszczał. Milczał ale czoło nadłysiało troską zmarszczył, usta głucho otworzył, jakby w chęci wypowiedzenia czegoś, a w walce z sobą. Wreszcie potrzeba ulgi zwyciężyła.

Przyciszonym tedy i bojaźliwym głosem wyznał, że z pieniędzmi bardzo źle stoi, więc dziewczyny weale by się od wakacji nie uczyły, bo na opłatę zgoła nie ma i tem samem wydatków żadnych ponosić nie może.

— Widzisz, ja matce tego nie opowiadam, bo się martwi i płacze, ale ja... ale na Waclawa szarpnąłem się okropnie! — Mówił. — Cóż to tyle lat utrzymywać chłopaka za domem! A tu wszystkie pięćdziesiąt dwa ruble kopiejek osmnaście na miesiąc pensyl!... Dom, no dom — to tylko podatki, koszta, dziury do łatania... To to się zmieni, — ciągnął dalej. — Waclaw z pewnością posadę dostanie — ale tymczasem nie mogę przecie nędznym pisarczykiem go zrobić, popychadłem. Mnie to swego czasu przystawało gryźć piórko młodszego kancelisty — ależ on przecie prawnik skończony! On musi przytem i z ludźmi przyzwoite stosunki utrzymywać tutaj — sam mi to tłumaczy, gdy mu napomknę że ledwo dyszę. To też on tu, moja droga w najlepszym towarzystwie żyje! No, i wolę, że w długi żydowskie nie lezie... Widzisz tedy, że z nim sprawa najważniejsza. Jak się to ureguluje, wyładzi, to o czem innym pomyślimy, pogadamy. Ziemia jeś nie woła, nie ucieknie...

Joasię jakby zimną wodą oblała.

W pierwszej chwili żal ją zdjął nad ojcem starymi latami i pracą, a w kłopotach niemałych. Lecz w miarę, jak słuchając, wnikała w stan materyjalnego położenia i stosunków wewnętrznych, wstrząsnęła się oburzeniem i trwogą.

— Pięćdziesiąt dwa ruble na siedmioro!... Jezus! jak to ma wystarczyć?!... A Waclaw!... — pomyślała z istnym zamętem w głowie. Teraz pojęła czemu folwark sprzedany.

Lecz po chwili przedewszystkiem zaświdrowała w jej duszy myśl, że i ona rodzicom ciężaru przysporzy, jedne usta więcej do karmienia.

Krew uderzyła jej na twarz, żyły do oczu nabiegły, ścisnąc gardło.

I tak siedziała minut parę oszołomiona, przybita swą bezsilnością i rozżaleniem, — aż kłęb dławiący w duszy sam się przewalił.

Naraz podniosła wzrok jasny i pogodny.

— Ja miałabym się na początku trwożyć, co-fać? — I on — on — miałby mnie tutaj bezczynną zastać?... Nigdy! Nigdy! Ze wstydu bym się spaliła! — pomyślała.

I z rumieńcem tłumionego wzruszenia już tylko zapytała ojca, czy pozwoli jej pokierować siostrami według własnych zapatrywań i mimo braku pomocy przedsięwziąć zamierzoną pracę.

Pan Wiktor, odpoczywał oczywiście po tem, co wypowiedział; i, na podobieństwo wiecznie stojącej wody, którą kamycz rzucony jeno pozornie porusza, już zapadał w błogosławioną apatyę, w głębi doświadczać może i pewnej ulgi w tem poczuciu, że ktoś chce mu ująć myślenia i odpowiedzialności. Spojrzał też na córkę całkiem wesoło.

— Ale dobrze, dobrze, moja droga.

Jesteś bardzo młoda, nie dziwnego, że w głowie masz czere mere i w zachęcenia swoje wierysz. Grzeb sobie w ogrodzie, komenderuj dziewczynami, jak ci się podoba, mnie to nic nie szkodzi, — powiedział już z pełnym dobrodusznym śmiechem.

W tej chwili drzwi się otwarły i wszedł Waclaw.

Prędko badawczym okiem obrzucił dwoje siedzących; i chciał bokiem do sąsiedniego pokoju przemknąć.

Lecz ojciec, przez wygórowane uznanie wyższości syna przybrawszy zwyczaj opowiadania się przed nim z każdym krokiem, niemal z każdą myślą, zaczął go.

— Rozmawialiśmy tu z Joasią o ważnych rzeczach, o matce, o dziewczynach i ogrodzie, — zaczął skwapliwie. — Joasia by chciała pożytecznie się zająć, coś tu na przemysł urządzić...

Nuda, jakby przylepiona do twarzy Waclawa, w tej chwili zmieniła się w ironiczny uśmiech.

— To to w Warszawie obecnie ogrodnictwo w modzie? — rzekł przystając.

— Pil pil Panny za ogrodniczki poprzebierane weale ładnie i malowniczo wyglądają mogą... Potem weźmiecie się zapewne do pasterstwa. Bodaj tylko drugi Vatteau was uwiecznił...

Joasię ogień oblał, aż czoło rumieniąc.

Powstała i wyszła.

Brat zwrócił za nią głowę z uśmiechem i pogwiżdzywaniem.

III.

— Siadaj blisko, moja duszko, i wytlómacz dokładnie czego sobie życzysz... Tu — tu — przy mnie, bliźniutko... tylko zamknij pierwiej lufcik...

— Ależ tak ciepło, droga pani...

— O, to nie, to nie, moje życie... Ja, co miałam raz głowę zawianą, czuję najłżejszy przewiew nawet w lecie; a ty choć młoda powinnaś unikać przeciągów... bardzo szkodzą, bardzo szkodzą...

Joasia spełniła zlecenie, choć stokroć wołała świeże powietrze, niż zapachy wody kolońskiej, pączuli, anyżkowych pierników i badianu, przepelniających pokój.

Następnie, też według rozkazu, siadła obok starszki blisko siedmdziesięcioletniej, a kształtów nader okazałych z twarzą zaś wielkiej dobroci i łagodności.

Ale do słowa dojść tu nie łatwo było.

— Ach, gdy patrzę na ciebie i myślę, że to córka mojej drogiej Tekluni, którą tak kochałam... o, bo ja bardzo kochałam twoją matkę w młodości... w młodości! — mówiła pani Zenobia. — Poczem mimo krótkiej szyi, głowę żywo w tył zwróciła ku drzwiom.

— Franetko... czy tam jesteś, Franetko?...

— *Jez — dem!*

— I cóż? Są wszystkie?... Żaden nie uciekł?..

— Żaden!...

— I ten biały z czarną łatką?...

— I on...

— Ach, to dobrze... o, to bardzo dobrze!...

— Bo widzisz, moja duszo, ja, co tak mało już mogę wyświadczyć ludziom, żywię wszystkie zgłodniałe koty, jakie tu się wałęsają. To są moi stolownicy, — objaśniła Joasię.

— Ale, Franetko — czy słyszysz, Franetko?...

— Słyszę!...

— Czy tylko dobrze porachowałaś?... Jest ich siedmiu, czy dziewięciu?...

— Dziewięć..

— To wybornie! doskonale!... To widać i ten rudy być musi — figlarz, bałamut, najczęściej ucieka. — Sławna bowiem rzecz, wyobraź sobie moja droga, że nigdy nie przyjdzie ośmiu, zawsze liczbą nieparzystą. Widocznie musi być jakieś małżeństwo, które razem birbantuje; a właściwie to ten ryży coraz z inną ucieka. Już ja wiem, światowice, hulaka, niepoprawny!...

Joasia poruszyła się na krześle trochę zniecierpliwiona tą rozmową, przeplatana ciąglem badaniem sługi ukrytej w sąsiedniej izdebce i rozprawami nad obyczajem kotów.

Przyszła tu nie na zabawę.

Pani Zenobia, wdowa samotna, a z natury niezmiernie uczynna i ruchliwa, mimo niepospolitej tuszy i chorób rozmaitych, potrzebując wprost zadowolenia dla resztek swego temperamentu i przyzwyczajenia — podejmowała się pośrednictwa w różnych sprawach, aby gromadzić koło siebie ludzi, stawać się użyteczną... nie doczekać jakby własnego pogrzebu i zapomnienia za życia.

Jej pokój tedy, w którym królowała na fotelu, prawie unieruchomiona, przemieniał się często na salę obrad, zwierzeń, biuro adresowe, dobroczynne, lub nawet sklepik. Zawsze było można znaleźć u niej bilety na wszelakie loterye; wskazówki dotyczące szwaczek bez roboty, studentów bez korepetycy; a często i bronzy, porcelany, szale tureckie, koronki, hafty do pozbycia.

Niezależny byt i zażyte z dawnej epoki stosunki z inteligencją miejscową i okoliczną dodawały jej uważania; a bezinteresowna usłużność równoważyła śmieszności wypływające z wieku, osamotnienia i — tak powszechnie spotykanego u ludzi niemłodych — uwielbienia dla czasów minionych.

— Więc dawno przyjechałaś, kochanko? — Zapytała, rozkombinowawszy w głowie kocie związki i przestępstwa...

— Już dawno; w Czerweu...

— A widzisz, niedobre serce! Czemużes to wcześniej nie przyszła? Ja tak kochałam twoją matkę — w młodości... O, bo jaka ona była śliczna, ta jasnawłosa Teklunia! Ale cóż... tyle dzieci!... — dokończyła, chcąc wyrazić ubolewanie nad ilością chorób i obowiązków, które zniszczyły panią Leską.

— Ja bo nie miałam ani jednego dziecka. I lepiej... tak dawno byłoby sierotą... Czy wiesz, moja duszo, że w dwudziestym roku owdowiałam! Ale

Jak byłam szczęśliwa przez dwa lata pożycia z moim mężem—jak byłam szczęśliwa!... Potem już wszystkich odtrącałam—nie godni byli wstępować w prawną mego nieodżałowanego nieboszczyka.

— Franetko!... a czy już zjadły?...
— Jeszcze!...

— No, to dobrze, dobrze... niech się nasyca biedaki...

Z jej pilnego nasłuchiwania najłżejszych szmerów z za drzwi, było widać, że o ile nie rozkołysywywa się wspomnieniami przeszłości, o tyle resztą duszy rozlaną w okazałym cieple—jest przy kotach.

Joasia pomiarkowawszy zatem, że nie wypłacie się powolnym sposobem z tej gadaniny, postanowiła przeciąć sprawę odrazu.

— Ale ja nietylko przedstawić się pani przyszedłam dzisiaj. Chciałam jeszcze poprosić o radę, może i pomoc...

— Bardzo dobrze, z całej chęci... słucham, słucham... Ale Franetko—Franetko! Jesteś tam?...
— Jez—dem!...

— To chodź i podaj konfiturki i ciasteczka!... — Przekąsisz, moja droga, choć troszkę; malinki tego-roczne z badiankami wyborne... O, nawet są tu na talerzyku, nie widziałam; weź, weź, spróbuj; — mówiła, wtykając Joasi spodek z trochę obeschłego owocu i drugi z ciastkami. — Franetko, już nie potrzebna. Dopolnij kotów i drzwi od podwórza zamknij...

Joasię rozpacz brała. Przyjęła wszakże mdłe przysmaki dla spokoju, i podjęła znowu:

— Chciałam wytworzyć sobie tymczasowo jakieś zajęcie produkcyjne...

— Aby mieć swoje pieniądze na kapelusik, na mantylkę... O, elegantko warszawska...

— Ślicznie, ślicznie!... Chcesz zatem dawać leky muzyki?...

— Nie, wcale nie gram...

— Nie grasz? Jaka szkoda! Cóż to za rozkoszne chwile daje muzyka! Ja, co tyle godzin przeżyłam przy fortepianie — bo mój mąż tak muzykę lubił, że i po jego śmierci zawsze grywałam wybrane przez niego melodie... I to on, Alfons, tak lubił koty...

— Ale ja nie gram wcale, wuj nie kazał mnie uczyć,—nieco za żywo pochwycała Joasia z obawy ponownych wywodów o ryżych i burych ulubieńcach.

— I przyznam się, że gdybym nawet grała, to nie uczyłabym nikogo z zasady, zaczawszy od sióstr rodzonych...

— A to dla czego? Cóż ty pleciesz za bluźnierstwa, za herezye?...

— Bluźnierstwa? — powtórzyła Joasia z uśmiechem, mając przed oczyma siostry bezustannem bębnieniem po fortepianie wykpiwające się od wszelkiej roboty w domu. — A, proszę pani, na co nam, niezamierzonym dziewczynom muzyka? Do względnej choćby doskonałości nigdy jej doprowadzić nie można, nawet przy pewnych zdolnościach, bo brak środków na porządną i długą naukę. Więć dudli się, dudli, właściwie tylko bawiąc, i sobie i rodzicom oczy zamydlając, a w końcu wszystko ciśnie się z nudy. A co strwoni czasu i pieniędzy, to każda przeraziłaby się, gdyby wylczenie na papierze zobaczyła. Przecież my powinniśmy o pożytecznym kawałku chleba myśleć, a która może, to i darmo coś pożytecznego na świecie robić...

— O, moja duszko! Dawniej był czas i na pończoszkę, i na szpincik, albo arfę. Ale wy jesteście pokoleniem bez poezji, bez ideałów... Wszystko obliczacie z kredką...

Joasia potrząsnęła głową z pobłażliwością, na jaką zdobywają się niekiedy młodzi w obec zacofania starców.

Błękitne, przejrzyste oczy, pod ciemną rzęsą drgające, jak szmat strumienia z odbiciem nieba pod cieniem wierzby—zwróciła ku oknu... „Bez poezji—bez ideału?...” Nie, to była nie prawda, niesłuszność... Ona czuła, pragnęła, roiła — ale w jej marzeniach, w jej ukochaniu tętniały jakieś dźwięki zagrzewające do rzetelnego czynu, do walki—jak bojowa muzyka.

Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest—mleczła. Głos pani Zenobii przerzucił ją w rzeczywistość.

— Więć kochanka nie gra,—jeszcze z bolejącym westchnieniem powtórzyła staruszka, echo głośnie dając myślom...

— Tak, — z pewnem roztargnieniem, odparła Joasia, zapomniawszy już wzmianki o muzyce. I pod świeżym przypiływem energii, na dobre głos zabrała prędko i żywo:

— Ale chciałam panią bardzo prosić o dostarczenie mi jakiegokolwiek roboty ręcznej. Znam krój, szyję suknie, bieliznę, umiem haft biały, haft jedwabiami, złotem... Przyniosłam nawet stułę, wczoraj wykończoną—może przy stosunkach pani dałoby się pozbyć?... Powiedziano mi, że nabywcy nie raz narzekają na brak dobrych robót w miejscu. Może więc zdołamy ich z czasem przekonać i od sprowadzenia odwieść... Ja nie mam zamiaru stale trudnić się haftem... ale wypróbuję, może będzie to zajęcie dla którejś z sióstr w przyszłości odpowiednie... Zresztą muszę mieć pieniądze własne za jakąś cenę, muszę!—powtórzyła, z dziecięcym wyłaniem dając upływ myślom, uczuciom, przedsięwzięciom, które w niej nurtowały, ważyły się, skupiały i rozpraszały na przemiany, stanowiąc bezustanną pracę duszy od kilku tygodni...

— Nie odmówi zatem, łaskawa pani, pomocy i pośrednictwa, — dodała pochylając się do ręki staruszki. Ja tu prawie nie znam nikogo; rodzice stosunków nie mają...

— Ależ dobrze, z miłą chęcią, moja duszo. Twoja robota śliczna, starannie wykończona, z pewnością zyska powodzenie, — oglądając przedmiot podany mówiła pani Zenobia, przejęta jej ożywieniem i wielce zadowolona, że coś nowego się pojawia.

Potem opowiadała jej poczęła, jakie ma kłopoty z dwoma sierotkami, które nie znajdują opieki. A w końcu, gdy Joasia zabierała się do odejścia, obdarzyła ją napomnieniem:

— Ale, ty figlarko, nadto wzroku nie psuj! Tobie za mąż, za mąż iść potrzeba! Kto ma takie oczy, taką główkę, nie powinien chować ich dla siebie... Ja cię tu zaraz wyswatam. Powiedz matce, że gdy córki dorastają, to nie można zagrzebanej siedzieć w domu. Znajomości się porobią. Jeszcze cię nie widziałam, a już słyszałam, że tu pewien młodzieniaszek wypatrywał kochankę w kościele... A czy, to jutro nie wybieracie się na folwark do Zdziarskich? Podobno tam wyprawia tańce dla jakiejś kuzynki. Słyszałam, że was mają prosić,—mówiła powiadomiona o wszystkich miejscowych nowinkach, które każdy do interesów dokładał.

— Może nas pominą,—szepnęła Joasia.

— Ale czemu? Trzeba znajomość odnowić, i bawić się duszko! Twój wiek najpiękniejszy do bywania w świecie. Młodość... młodość!... oko!...

Po chwili Joasia odchodziła, mimo narzekania pani Zenobii na nowoczesną młodzież w wiecznej gorączce — a echo nawoływań „Franetko — a jesteś tam, Franetko?” rozlegało się napowrót w mieszkaniu staruszki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z WŁOCH.

Międzynarodowa wystawa sztuk pięknych, otwarta w ostatnich dniach ubiegłego miesiąca, ściągnęła tu ludzi ze wszystkich stron świata, a między niemi znajdowała się dostojna, bo ukoronowana turystka, cesarzowa austriacka, która tu przybyła na yachcie swym „Miramare” wprawdzie na czas krótki, bo bawiła tu tylko dni dwa, ale też przepędziła je niemal całkowicie w gmachu wystawy w towarzystwie arcyksiężny Waleryi. A jest też tu co widzieć, szczególnież też wieczorem na placu S-go Marka, gdzie skupia się głównie ruch cały, jak ongi za czasów karnawału weneckiego. W około piętrzą się wspaniałe gmachy marmurowe, przepyszna w poważnej swej architekturze katedra wzbija się wysoko ku niebu wysmukłymi wieżycami i przy oświetleniu elektrycznym przedstawia to widok niełatwo dający się opisać, zwłaszcza że dołem roje

ludzi w różnych barwach i strojach tworzą jakoby wciąż zmieniające się obrazy w kalejdoskopie. Para królewska, która znajduje się wszędzie tam, gdzie życie Włoch bije tętnem żywszem, przybyła w d. 1-maj, witana jak zawsze przez ludność włoską entuzjastycznie, a kanał wiodący od dworca kolei do pałacu niegdyś dożów Wenecyi, świetnie był uiluminowany. Gondola, niosąca parę królewską lśniła się całą złocisto, a po za nią posuwała się druga, też wytwornie strojna, a tej ładunek całkowity tworzyły najpyszniejsze pod słońcem kwiaty, które ludność włoska, poczynając od rzymskiej, składała jej w hołdzie po drodze.

Cesarzowa austriacka przybyła też na yachcie swym „Miramare,” aby złożyć wizytę parze królewskiej, która oddała jej też rewizytę tego samego dnia na yachcie wspomnianym, ale kulminacyjną chwilą tych wszystkich uroczystości był moment, gdy nazajutrz o 10-tej godzinie rano zagrzemiali salwy wszystkich okrętów włoskich, ustawionych w porcie szeregim, dając znać, że para królewska udaje się na wystawę. Był to według wyrażenia się jednego z dzienników pochodzący wspaniały jak obrazy Tycjana: otwierała go gondola niosąca muniępalność miasta, wybita ponsowym aksamitem, gondola deputacyi prowincjonalnych jaśniała żywą barwą błękitną i tak dalej, tak dalej, jedna pyszniejsza od drugiej torując drogę gondoli królewskiej, tradycyjnie czarnej, złotem bramowanej, która niegdyś niosła przez kanały Wenecyi jej dożów. Na żądanie królowej pozostała ona pustą, reprezentując przeszłość, a para królewska mieściła się na małym, stosunkowo skromnym statku parowym, należącem do marynarki włoskiej, a otoczonym przez mnóstwo podobnych mu, które zajmowały panie dworu królowej, oraz wielcy dygnitarze korony i razem był to widok jakiego po za Wenecją nikt oglądać nie może.

Uroczą można też nazwać iluminację miasta. Gdy na wspaniałej wieży kościoła S-go Marka wybiła godzina dzwoniąca wieczorem, ze szczytu wyniosłej dzwonnicy snopy światła rzuciły blaski złoto czerwone, wśród których katedra i pałac dożów rysowały się wspaniale po nad innymi budowlami. Ognie bengalskie migotliwie strzelają w górę, na falach zatoki gondola płynie za gondolą, a każda w oświetleniu innym, czarującym oko, gdy wieża starożytnej świątyni Panny Maryi wznosi się w pośrodku, rysując w jasnym powietrzu kontury wspaniałe poważne. Magicznego wrażenia chwilą był moment, gdy naraz rozległ się huk jak gdyby mnóstwa złanych ze sobą wystrzałów, a echo morskie chwytło go i powtarza, aż następuje zmiana nagła: fale czerwonej łuny stają się zielonemi jak wody morza, rakiety wypuszczone jedna za drugą ciskają snopy blasków i razem był to widok, jaki nieczęsto przedstawia się oczom, ale we Włoszech spotkać się można z takimi malowniczymi obrazami życia, jakich nigdzie indziej oko nie ujrzy. Zaliczyć można do nich pielgrzymki pobożnych tłumów różnych narodowości, które co wiosna przybywają do Wiecznego Miasta i w tych dniach właśnie przyciągnęła tu obok licznej kompanii Tyrolczyków niemniejsza kompania z Galicyi. Ojciec Święty odprowadził dla tej pielgrzymki mszę, celebrowaną w watykańskiej sali Księżęcej bardzo uroczysto i wspaniale, a obok innych biskupów asystował tu i wasz arcybiskup warszawski, Popiel. Po mszy Ojciec Święty, niesiony na ruchomym swym tronie; *sedia gestatoria*, dając im kolejno rękę do całowania, przemawiał po łacinie. A odbyła się tu w tych dniach i smutna dla nas uroczystość, pogrzeb ks. Waleryana Przewłockiego, należącego do zgromadzenia O. O. Rezurekcyjistów, którego cała tu nasza kolonia znała i szanowała. Urodzony w 1828 r., w okolicach Lublina, służył wojskowo w Węgrzech, potem w Turcyi, był inżynierem, przebywał czas jakiś w okolicach Poznania, w Dreźnie, aż w 1864 r., wyjechał do Rzymu i został księdzem. W 1890 r., udał się do Ameryki, chcąc być pomocą naszym biednym wychodźcom i zostawił wspomnienie o tem w książce „Listy z Ameryki.” W ogóle podróżował dużo; lat trzy spędził w Bulgarii, aż po śmierci Semenienko otrzymał godność generała swego zgromadzenia, którego użytecznym członkiem był od początku do końca i razem powiedzieć można z żalem, że ubył nam człowiek czeigodny, pracujący w zakresie swego powołania do chwili życia ostatniej.

W ubiegłym miesiącu, d. 25 kwietnia, obchodzono tu w całym kraju bardzo uroczyste trzecie rocznice śmierci wielkiego poety, Torquato Tasso. Wszystkie miejscowości, w których przebywał, więc Sorrento, Neapol, Rzym, Ferrara, uczciły jego pamięć odczytami prozą i rymem, obok tego urządzono wystawę pamiątek po nim na Janiculum, wyszły też trzy wyczerpujące studia jego utworów. Dzienniki rzymskie przypominają szczegóły, wiążący się ze czcią jaką Włochy otaczają wspomnienie poety. W wyrocznym dla nowoczesnych Włoch 1849 roku, gdy kobiety włoskie oddawały obrączki ślubne, aby je, przetapiać na dukaty, za które kupowano broń przetapiano też na armaty i dzwony kościelne. Los ten miał spotkać w Rzymie dzwony kościoła San Onofrio; zakonnicy, do których kościół należał, zwrócili się z prośbą do Garibaldiego, a jeden z nich, młody braciśzek, zawołał z zapalem, że dzwony te dzwoniły nad grobem, w który składano zwłoki wielkiego poety. — Jenerale! — rzekł — uszanuj pamięć Tassa... a on wzruszony tem woła: „Bracie,“ nietykalnemi powinny być dzwony, które doniosły światu wieść bolesną o śmierci Torquata Tassa... a wszystkie ręce opadły w dół i nikt nie podniósł głosu przeciw tej opozycji szlacheckiej

A nietylko pokolenie dzisiejsze cześć tak wielkiego wieszca. Odrazu dobrał się on do serc i umysłów ziomek swoich klas wszystkich i w pamiętnikach owczesnych zostało wspomnienie, że nieszczęśliwy poeta już u schyłku życia, gdy ścigany nieukojoną tęsknotą, puścił się w świat, usłyszał w Pizie smutne skargi z „Jerozolimy wyzwolonej,“ śpiewane przez galerników. Obecny obchód, poświęcony cześć jego, nie przejdzie bez uszlachetniającego wpływu na pokolenie dziś żyjące, które głębiej się w utwory jego wczyta, bo w klasztorze przy kościele San Onofrio otworzono wystawę jego manuskryptów.

Śmierć Cezara Cantu obudziła tu żal powszechny, choć starzec to był sędziwy, liczący lat osiemdziesiąt osiem, nie zapomniano przecież jego zasług, jako historyka, a choć metoda jego nie odpowiada dzisiejszym wymaganiom, niemniej miał on zasługi, które zjednały uznanie tak człowiekowi, jak i pisarzowi. Wychowany w rodzinie pobożnej, zapragnął poświęcić się służbie Bożej, wstąpił już nawet do seminarium, ale były to czasy ścierających się ze sobą namiętnie przekonani i umysł młodzieńca ulegał prądom rozmaitym. Wystąpił też wkrótce z seminarium, został profesorem literatury i języka włoskiego w Medyolanie.

W r. 1823 wydał powieść „Margerita Pusterle,“ która przetłómaczoną była na nasz język i w 1860 r., zamieszczona w „Gazecie Warszawskiej.“ We Włoszech miała ona powodzenie ogromne, wyszło jej pięćdziesiąt dwa wydań, ale umysł jej autora dojrzewając, sięga głębiej w życie, oddaje się studjom historycznym, całe lat dziesięć pisze „Historię powszechną,“ która wychodzi w trzydziściu pięciu tomach i której przyznano już znaczenie dające mu rozgłos i miejsce wyższe między historykami.

Dało to zarazem i majątek, on przecież nie przestaje pracować, bo serce jego bije gorąco i pragnie wiedzę swoją, uczucia swoje przelewać w pierś ludzi dobrej woli, zakłada więc w Turynie dziennik „La Guardia Nazionale,“ ale nie jest to pole dla niego, zwija więc pismo, wraca do Medyolanu, gdzie zostaje dyrektorem archiwum i tu już pracuje do późnej starości, niemal do śmierci, a tak nie umiał rąk bezczynnie zakładać, że w chwilach wolnych od poważnej swej pracy historyka pisze dla dzieci, a książka ta „Letture giovanille,“ nietylko miała wydań kilkadziesiąt, ale napisaniu jej przyznawano zasługę obywatelską, jak też było niewątpliwie, bo posiew to był myśli i uczuć szlacheckich, rzucany w grunt młody.

Ma tu stanąć wkrótce na wzgórzu Janiculum, więc już za Tybrem, posag Garibaldiego. W tym celu miasto nabyło od księcia Corsini część jego wspaniałego parku, rozciągającego się na gruncie niegdyś ogrodów Juliusza Cezara, bo nie ma tu ani piędy ziemi, która by nie miała w przeszłości swej jakiegoś znaczenia. Tutaj także wznosiła się w kolei czasu historyczna wspaniała fontanna, zbudowana z rozkazu i wedle planu Papieża Pawła

V, zwana też Aequa Paolo. Posąg będzie odlany w bronzie dwadzieścia dwa metry wysoki, a przedstawi szlacheckiego rycerza na koniu, w otoczeniu grupy alegorycznej, przedstawiającej Rzym i Włochy. Według tego, co mówią osoby mające wstęp do pracowni artysty, Pawła Gallori, nietylko rysy są bardzo podobne ale i wyraz oblicza, co można nazwać duchową stroną rzeczy, więc zadawalnia to wszystkich, którzy znali szlacheckiego tego rycerza. Odlewu podjęła się pierwszorzędną tu firma Nelli, która odlewała też pomnik Mickiewicza, dłuta Rygięra. Odsłonięcie pomnika, ma być początkiem uroczystości, poświęconych cześć drogiemu Włochom męża, a będzie to niewątpliwie uroczystość bardzo świetna i nie ograniczy się zapewne do jednego bohatera tej sprawy włoskiej, której współpracownikami było wielu mężów szlacheckich. W pobliżu miejsca gdzie stanie posąg, wznoszą się marmurowe popiersia generała Lamermory, Fabriziego, Manuelego i innych mężów, drogie Włochom i będzie też to otoczenie, godne tego, który w ustach narodu włoskiego zowie się: „Eroe dei due Monde.“

Już to od czasu, gdy rozpoczęto roboty koło rozszerzenia i regulacji Tybru, oraz gdy przy wzniesieniu na nowych ulicach gmachów, pod które fundamenta musiały być zapuszczane głęboko w grunt, odkopano mnóstwo przedmiotów, złożonych tam przed wiekami. Że można się było tego spodziewać, rząd ustanowił dozorcami archeologów, którzy czuwając przy rozkopywaniu ziemi pod wszelkie tego rodzaju prace, pilnują aby nie przepadło tu nic, co może mieć jakakolwiek wartość w tym zakresie. Wydobyto też bardzo wiele starożytnych rzeźb, bardzo wiele starożytnych przedmiotów rozmaitego gatunku. Przy rozszerzaniu portu Ostoja znaleziono ich najpierw mnóstwo i to dało początek zwracaniu uwagi na te, w łonie ziemi przechowujące się pamiątki: kamienie nagrobkowe z napisami wykazującymi czasy Cezarów, płaskorzeźby, posągi, szczególnie na Pałatinie, gdzie prowadzą się regularnie rozkopalka z ramienia rządu i łono ziemi oddaje posłuszenie człowiekowi teraźniejszej doby istnienia ludzkości skarby, daleko po za nami pozostających wieków. Do rzeczy szczególnie cennych w zakresie sztuki, zaliczyć trzeba starożytną kopię Fauna Praxytelesa, znalezioną na ulicy Venti Settembre i mnóstwo przedmiotów pomniejszych, odkrytych na dnie Tybru. Nowo wzniesione muzeum zawiera bardzo wiele przedmiotów cennych z VII, VIII, i IX wieku, wydobytych z grobowców. Są tam sprzęty domowego użytku, są kosztowne ozdoby niewieście, broń; nie odnaleziono przecież mimo bardzo starannych i specjalnie temu poświęconych poszukiwań siedmioramiennego świecznika, zabranego przez cesarza Tytusa ze świątyni Salomona w Jerozolimie.

W Pompei odgrzebano jednak niedawno, bo w pierwszych dniach kwietnia, bardzo ciekawe zabytki przeszłości: dom, którego ściany pokrywają bardzo ładne freski, a którego urządzenie oznajmia, że mieszkali tu ludzie zamożni, cywilizowani, posiadający smak estetyczny. Odkopano już takich domów kilka, bo odkopywanie to nie od dziś się rozpoczęło; cenniejsze malowidła przeniesiono do Muzeum w Neapolu, równie jak i rzeźby, niemniej jest tam jeszcze bardzo wiele rzeczy wartych uwagi. Sama miejscowość już pociąga wzrok i zajmuje: zmarłe to, skamieniałe miasto, działa na widza wrażeniem nie dającym się opisać, bo z konieczności stawa nam przed wyobraźnią ta chwila straszliwa, gdy tysiące ludzi żywych wtrąconych zostało do grobu, który po upływie wieków otwiera się dopiero. Przeszło pięćdziesiąciu robotników odkopowywało miasto niedoli najcięższej, jaka kiedy dotknęła ludzkość. Liczba to jest stosunkowo do przedmiotu za mała, ale rząd włoski bogatym nie jest, a obok tego część miasta główna wydobytą już została z grobu swego na światło dzienne; obliczono przecież, że całość zmartwychwstać może zaledwie za jakie lat sześćdziesiąt, ale potrzeba na to pięćdziesiąt milionów lirów. Wtedy tylko wszystkie budynki miasta, oraz grobowce cmentarza, leżącego przy drodze, która wiedzie do miasteczka Torre Anunziata, wyjrzą na światło dzienne. Odzywają się przecież głosy, że odkopywanie energiczniejsze tego miasta umarłej przeszłości opłaciło by się Włochom przez ściąganie podróżników, których i tak niemała liczba

co rok tu dąży. Dom ów odkopany w kwietniu, o którym wspominałem powyżej, przedstawia typ zwykłego rzymskiego, więc jest tu atrium i perystyl, które były miejscem przyjęcia gości i grupowania się rodziny w chwilach więcej uroczystych, świątecznych.

Bardzo piękne freski zdobią ściany, ale są to malowidła tak nieprzyzwoite, że jedna z komnat została zakratowana, aby nie gorszyła oglądających te pamiątki przeszłości. Pogańską ona była, nie miało więc tego górnego ideału czystego piękna, który chrześcijaństwo przyniosło dopiero ludzkości, a które przedstawia tu zaraz na miejscu świątynia Najświętszej Panny pod wezwaniem Madonny di Pompei, pełna kosztownych wotów, bo słynąca cudami. Już to we Włoszech podróżnik spotyka coraz jakąś niespodziewaną piękność, która go podnosi nad prozę powszedniego życia i każe potem tęsknić do wyższych jego ideałów.

August

TRZY CHWILE

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dokończenie).

W parę dni potem w parafialnym kościółku suto zielenią i kwiatami przybranym, Ryszard siedział w kollatorskiej ławce obok Kici.

— Czym ja zasłużył na tyle szczęścia Ojciec dobrotliwy! — szeptał wzruszony i zdumiony, że modlić się jeszcze potrafi.

„Król Niebieski k'nam zawitał,
„Jako śliczny kwiat zakwitał,
„Nad nędznymi się zmiłował
Alleluja, Alleluja!“

Śpiewała Kicia i głos ten rzewny sprawił, że duch Ryszarda wyzwolił się ze smutnego upadku i wznosił się teraz na skrzydłach miłości i wiary ku Tej Istocie Najwyższej, której katechizmowo określić nie umiał, ale której istnienie, sercem przepełnionem radością pojmował teraz.

Powracali potem oboje z kościoła, lekkim wolanem i ulubionymi karosami Kici. Ranek był piękny, słoneczny, jechali wolno, radując się wszystkim jak dzieci szczęśliwe i tworząc plany przyszłości wspólnej...

Wtem Kicia drgnęła i szarpnęła lejce, aż nieprzywykłe do podobnego obejścia swojej pani karosze, stanęły dęba.

— Co to? Co się stało ukochana? — zawołał Ryszard, z przerażeniem przyglądając się Kici. — Jakaś ty błada!

Nie miała siły odpowiedzieć.

Koło krzyża, kędy droga rozbiegała się na trzy strony, stał powóz podróżny. Rzecz zwykła!... więc czemuż serce Kici trwożą zabiło? Tam, przy tym krzyżu, zatrzymał ją niegdyś Władysław, tam usłyszała, że ją kocha... i gdyby wrócił... Lecz z kądże myśl podobna? Jakaż ona dziecinna! Szczęście, które całą jej istotę wypełnia, czyni ją trwożliwą, zabobonną...

— Nie jedźmy koło krzyża, Ryszardzie — prosiła, uśmiechając się drżącymi i zbladłymi ustami. — Ogarńmy mię lek jakis... niewytłómaczona obawa wypadku... Konie niespokojne...

— Bo je podrażniłaś najdroższa! — rzekł zaniepokojony jej zachowaniem się Ryszard. Odebrał jej lejce i boczną drogą skręcił ku domowi.

W godzinę potem, przed gankiem w Jagodnej zatrzymał się powóz pocztowy. Kicia, dzieląc się z domownikami jajkiem święconym, przyjmowała

ich zyczenia jako narzeczona, bo wieść o jej ślubie, który za kilka tygodni miał nastąpić, szybko się rozszła, ogólnie wywołując zadowolenie.

Wtem lokaj podał jej wizytową kartę.

— Czy mam prosić?...— spytał, widząc, że pani jego stoi jak skamieniała.

Kicia błędnym wzrokiem potoczyła w około. Co to jest? Ryszard, rozmawia z matką, wesół, szczęśliwy... dzieci skaczą obok niego... Ach! jak to dobrze, że oni się wszyscy tak kochają... Któżby śmiał zaprzeczyć Ryszardowi praw jakie ma do niej, do miłości jej dzieci?... Ktoby śmiał zatruć tę rajską przyszłość, którą i ona przecież tysiącem bólów już okupiła? Boże, Boże! Co to jest? Co się z nią dzieje? Podniosła dumnie głowę, jak gdyby w poczuciu krzywdy, którą jej wyrządzić chciano.

— Wprowadź gościa do salonu i powiedz że przyjdę tam za chwilę— rzekła do służącego i skinęła na Ryszarda.

— Powrócę wkrótce— szepnęła, patrząc na niego z niezgłębioną miłością. — Mam wizytę niezbyt przyjemną... nie chciałabym niepokoić mamy...

Ryszard spojrział na nią bacznie.

— Ty coś ukrywasz przedemną, Kiciu? — spytał przerażony jej bladocią. — Co to wszystko znaczy?

— Dowiesz się później... — szepnęła z wysileniem. — Nie ważnego, wierzaj mi!... O patrz! matczka cię wzywa... Pewno jaki nowy figiel Tadzia.

Uśmiechnęła się i odeszła, a gdy w parę godzin potem w ogrodzie ją zobaczył, wydała mu się cieniem owej świeżej zarumienionej Kici, której głos w kościele taką pełnił siłę rozbrzmiewał...

— Więc ty zgadzasz się Ryszardzie bym się ciebie wyrzekła? — szeptała drżąc i była taka blada, jak gdyby życie z niej uleciało...

— Wszak sama nie postąpiłabyś inaczej, — spytał — pomyśl Kiciu, jak on cierpiał, jak tęsknił!

Ukryła twarz w dłoniach i łkała cicho. Nie było łez w jej oczach, tylko ból suche łkanie wydierał z piersi.

Głęboka zmarszczka przecięła blade czoło Ryszarda. Z jakąż rozkoszą poświęcił-by życie aby tę wymarzoną Kicię swoją, od cierpienia uwolnić. Ach czemuż, czemuż stanął na jej drodze!

Walka była okropną, lecz ci którzy ją podjęli, posiadali niepoślednią siłę, gdy o wypełnienie obowiązku chodziło.

Wieczorem dnia tego, wszyscy już wiedzieli w Jagodnej, że pan Władysław powrócił i upomniawszy się o swoje prawa, rękę Kici otrzymał. Załowano serdecznie Ryszarda, booczywiście, nikt tak wysoko myślą nie sięgnął, by przypuszczać, że Kicia ze swego szczęścia zrobiła także ofiarę.

Gdy zmęczony wrażeniami i długą podróżą Władysław, oddalał się wcześniej na spoczynek i Kicia, podając mu blade czoło do pocałunku szepnęła: „śpij pod dachem twoim spokojnie.“ Władysław pociągnął ją ku oknu i objąwszy ramieniem przytulił do piersi namiętnie.

— Daj mi pocałunek twoich ustek najmilsza!... — szepnął. — Tak długo tej rozkoszy łaknąłem...

Nie odmówiła. Co się z nią działo, wiedział Ten chyba, ku któremu wzrok ufności podniosła.

K O N I E C .

Tragedye i komedye zabobonu.

ZABIJAJĄCE DUCHY.

Zabobon, ciemna spuścizna przeszłych stuleci błąka się i dziś jeszcze w umysłach ludzi cywilizowanego świata. Stopniowo, ciemne jego strony rozjaśniają się, rozum zbija przywidzenia, lecz zabobon posiadając się tysiącem pozornych dowodów, podstępem nawet wydziera broń nauce i usiłuje użyć ją na korzyść swoich celów.

W nowszych czasach zdołano osiągnąć pewniejsze dane o zagadkowych stanach ciała i duszy.

Po długich sporach i wahanii poznano wreszcie istotne znaczenie somnambulizmu, snu magnetycznego; zauważono na hypnotyzowanych jaką władzę wywiera na człowieka rozbudzenie pewnego pojęcia czyli sugestya. Cuda i znaki dawnych czasów przedstawiały się dzięki temu jako zwyczajne objawy, które zręczny hypnotyzer wywołać może w każdej chwili u podatnego osobnika. Lecz zabobon nie zadawał się takimi wywodami, wyznawcy jego wytrwale oddziaływając na swe powolne medya, starają się wywoływać zadziwiające objawy, za pomocą sugestyi i bałamuca tem niedoświadczonych a mniej wykształconych widzów. Zahypnotyzowaną osobę mianują jasnovidząca, a wizye, którym podlega—objawieniem duchów, rozwiązują sny prorocze, i na tej drodze gromadzą dowody o przeczeniach duszy.

Olśnieni, a pożałowania godni! Mniemają że postąpili znakomicie w swej tajemniczej wiedzy, a w rzeczywistości są tylko ofiarami własnego omamienia. Świat duchów, który otacza ich pozornie istnieje tylko w ich podnieconej wyobraźni, pod względem mniemanej wysokości wykształcenia stoją oni pod sztandarem zabobonu, i tak jak owi nadzy dzieci, na najniższym stopniu kultury, jęcząc pod brzęczącą potęgą demonów, która uwięziła ich własną siłą wyobraźni. Nie ulega wątpliwości, że te urojone obrazy, dzięki potędze sugestyi mogą być bardzo niebezpieczne, ci więc, którzy pragną uniknąć zaburzeń na duchu i ciele, oraz nie lekceważą złych skutków, ztąd wynikających, powinni nie tylko zaniechać wszelkich zuchwałych usiłowań błąkania się w krainie duchów, lub wywoływania jasnovidzeń, lecz także i innych do podobnych zamiarów zniechęcać. Istnieją bowiem „zabijające duchy,“ lecz innej natury, niż to sobie zabobonni wyobrażają.

Wiadomo wszystkim, że podniecające posiedzenia, połączone z hypnotycznymi doświadczeniami, mają niekiedy smutny koniec. Niedawno zdarzył się tragiczny wypadek w zamku Tuser na Węgrzech, godny uwagi. Gorliwie zajmowano się tam spirytystycznymi hypnotycznymi objawami, a córka właściciela zamku panna Ella von Salomon słyndła jako wysoko podatne medium. Pewnego razu, młoda ta osoba, zahypnotyzowana przez zwykłego amatora takich doświadczeń, miała dać w jasnovidzeniu szczegółowe sprawozdanie o cierpieniach, ciężko na płuca chorego brata hypnotyzera. Do najwyższego stopnia podniecona, wywiązywała się z narzuconego jej zadania, w końcu wypowiedziawszy urwany głosem, że można spodziewać się najgorszego następstwa, spadła z krzesła, z chrapliwym okrzykiem, i po chwili życie zakończyła. Jestto może pierwszy śmiertelny wypadek, wydarzony podczas hypnozy, i należałoby zastanowić się, czy powodem była tu hypnoza sama przez się, czy też szukać trzeba przyczyny śmierci w gwałtownym wzruszeniu umysłu, w jakie popadła „jasnovidząca.“

Sławny doktor Krafft-Ebbing, kompetentny w tych sprawach, wygłosił na podstawie pierwszych wiadomości o tym wypadku swoją opinię; twierdzi on, że niezręcznie podjęte hypnotyzowanie i gwałtowne wzruszenie umysłu, wywołane za pomocą sugestyi, w ścisłym przyczynowym są związku ze śmiercią, lecz że była tu w grze istota chorobliwa, a taki stan może oddziaływać nienormalnie na podrażnienie nerwów, zatem gwałtowne przerażenie zabić ją mogło i na jawie. Przytem, profesor v. Krafft-Ebbing wyjaśnia że hypnotyzerowi fachowemu, wypadek taki nie byłby się zdarzył, i dodaje że niekompetentni hypnotyzować nie powinni, że nie wolno grać z hypnozą, ani też poddawać sugestyi wywołujących gwałtowne wzruszenia.

Przytoczony powyżej nieszczęśliwy wypadek powinien jeszcze służyć i pod innym względem dla szerszych kół za przestrożę. Należałoby pamiętać że i bez hypnozy oraz sugestyi gwałtowne wzruszenia spowodzić mogą bardzo złe skutki dla zdrowia, śmierć nawet. Fakt ten jest wprawdzie wiadomy, lecz nie znajduje należytego uwzględnienia, jakże często igrają ludzie z przerażeniem drugich! Niejeden żartowniś pojęcia nie ma o skutkach, które figiel jego źle zastosowany pociągnąć za sobą może. Nedoręczne udawanie strachów, przytrafia się dość często w dziecinny pokoj; mało kto jednak wie

zapewne o fakcie oskarżenia człowieka o zabójstwo, na zasadzie że dziecko, któremu ukazał się pod postacią widma, zmarło wskutek przestachu.

Podczas bombardowania Strasburga, wiele osób zachorowało z powodu przestachu doznanego przy wybuchu granatów; wielu z wyratowanych podczas pożaru Ringteatru w Wiedniu odniosło nerwowe i umysłowe zaburzenia. Trzęsienie ziemi silnie bardzo oddziaływa na umysł ludzki. Lekarz z Chios, d-r Schwatz podaje następujące spostrzeżenia, zebrane podczas trzęsienia ziemi na wyspie Chios, które w 1880 roku przyprawiło o śmierć 3,531 ludzi, a zburzyło 14,000 domów. „Gwałtowne, kilkakrotnie powtarzające się wzruszenia umysłów wywołały liczne nerwowe choroby. Z żalem zmuszony jestem zaznaczyć, że cała prawie młodzież żeńskiego rodzaju uległa po części atakom epileptycznym, po części spazmom. Po pierwszych skutkach strasznej katastrofy, niektórzy z mieszkańców opuścili miasto Chios; znaczna jednak część ich pozostała w mieście. Gdy wszechstronny znawca ludzi spojrzy teraz na owe nędzne, sinym odcieniem, w miejscu dawnej krasy pokryte oblicza, przejmie i jego zdumienie, na myśl, że trwoga i przestach taką zmianę sprowadzić mogą.“

Wiemy wszyscy z doświadczenia, że lekki nawet przestach zapiera oddech, i zatrzymuje na chwilę bicie serca. Przestach działa więc hamująco na system nerwowy, regulujący oddychanie i krążenie krwi, a hamulec ten bywa niekiedy tak gwałtowny, że oddech i serece zatrzymać może na wieki, i śmierć nastąpi natychmiast. Pewna kobieta przestraszyła się do tego stopnia powozem staczającym się z grobli w jej oczach, że padła martwa na drodze; przemytnik przepływał rzekę w chwili, gdy patrol straży pogranicznej dawał ognia do jego towarzyszy, przerażony tem dostał się wprawdzie na drugi brzeg, lecz tu upadł nieżywy, bez najmniejszych śladów zewnętrznego uszkodzenia na ciele.

Po większej części w takich wypadkach śmierć następuje w skutek paraliżu sereca, jestto przedwczesny zgon ludzi z wadą lub cierpieniem sereca, jakkolwiek śmierć z przerażenia ponieść mogą i zupełnie poprzecznie zdrowe osoby.

Bywają wypadki, chociaż mniej częste, że uczucie wprost przeciwnie przerażeniu, nagła wieść radosna, w ten sam sposób oddziaływać może. Pewna matka otrzymała zawiadomienie o śmierci syna podczas nieszczęśliwego wypadku; nagle, gdy jej okazuje się ten, którego już opłakała jako zmarłego, nieszczęśliwa pada martwa w jego objęcia. Rodzice jednej młodej pani, w żaden sposób nie chcieli zezwolić na małżeństwo córki z wybranym jej serca, powodując się światowem położeniem jego; paniuszka ze zmartwienia zachorowała, a rodzice wreszcie ulegli i postanowili sprawić córce przyjemną niespodziankę. W dniu wigilii Bożego Narodzenia wprowadzają córkę do pokoju, gdzie stało błyszczące drzewko, a obok, jej ukochany, — niby dar na gwiazdkę. Biedne dziewczę, wyczerpane serecowa troską, nie mogło przenieść swego szczęścia—padło również martwe przed drzewkiem.

Oprócz zgubnych wpływów gwałtownych takich wstrząszeń, znane są z podobnych skutków wypadki, w których działanie nie jest tak nagłe, lecz równie fatalne. Ze wyrzuty sumienia, i trwoga zabić mogą człowieka, daje nam przykład opowiadanie profesora Bollingera z Monachium. Młody wieśniak poturbował tak silnie swego towarzysza, że ten zmarł po kilkunastu dniach cierpienia. W więzieniu, winowajca, dręczony trwogą i wyrzutami sumienia, jadł wprawdzie bardzo mało, jednak wyglądał na zdrowego człowieka. Nadszedł dzień w którym oskarżony stanął przed sądem przysięgłych, a gdy wszedł do sali sądowej, zrobiło mu się słabo, wyglądał tak źle, że lekarz zarządził natychmiastowe przeprowadzenie go do domu zdrowia. Nogi i ręce zsiniały, tętno pulsu prawie ustało.

W szpitalu stan jego zdrowia nie polepszył się i pomimo starań lekarza, wieśniak zmarł w ciągu 24 godzin.

Podobne skutki sprowadza także wpływ tęsknoty do rodzinnego miejsca, rozwijając prawdziwą chorobę połączoną z gorączką. Gdy to cierpienie dojdzie do tego stopnia, nie pomoże już żaden środek leczniczy, chory umiera, a wyleczenie osiągnąć moż-

na tylko przez powrót chorego do rodzinnego miejsca.

Przykłady te, oraz wiele im podobnych dowodzą, jak ogromny wpływ na ciało człowieka wywiera stan jego ducha i umysłu. Badania oddawna prowadzone wykazują pośród innych i taką, jedynie moralną, przyczynę choroby. W nowszych czasach odkryto inną jeszcze zależność pomiędzy czynnościami umysłu i funkcjami ciała. U ludzi w stanie hypnozy, wywołać można za pomocą sugestji czyli poddawania określonych wyobrażeń, najróżnorodniejsze zmiany w funkcjach organów ciała, które w zwykłym stanie niezależne są od woli. Gorączka, krwiste plamy na skórze występowały, w sposób określony przez hypnotyzera. Również można za pomocą hypnozy usunąć w części, lub w zupełności cały szereg nerwowych chorobliwych objawów. Przekonano się dalej, że współdziałanie hypnotyzmu nie jest tu niezbędnym, wrażliwi ludzie mogą sami sobie poddawać najróżnorodniejsze pojęcia z wiedzą lub bezwiednie, wreszcie, że oddziaływać można sugestją nietylko w śnie hypnotycznym lecz i na jawie.

Czy jednak władza sugestji dochodzi do tego stopnia, aby spowodować najgorsze następstwo, śmierć? Jakkolwiek na pozór wydaje się to niemożliwym, jednak przyjąć należy możliwość takiego fatalnego działania. Profesor v. Krafft-Ebbing twierdzenie to popiera, i przytacza następujący przykład, jako dowód słuszności swego zapatrywania: W jego klinice przebywała chora nadzwyczaj wrażliwa, z hypnotycznego w somnambuliczny sen pogrążona doszła samosugestją do mniemania, że się otruła, i umrze; pod tym wrażeniem nastąpił tak znaczny upadek sił, że profesor zmuszony był za hypnotyzować chorą, i wtedy dopiero udało się uwolnić ją od poprzedniej samopoddanej myśli. Fakt ten, posłużyć mogący za dowód władzy duchowych wpływów na życie fizyczne nie jest odosobniony.

Doktor Bertrand leczył chorą, która przepowiedziała sobie śmierć na termin oznaczony i to było przyczyną jej choroby, gdy jednak tenże doktor za pomocą dobitnej sugestji wpoił w chorą przekonanie że śmierć nie nastąpi, wyczerpane przedtem siły powracać zaczęły.

(Dokończenie nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie, piszą iż odbędzie się wkrótce posiedzenie komitetu kolei syberyjskiej na której roztrząsaną będzie ostatecznie sprawa budowy kolei Perm—Kotłas. Komisya rady miejskiej do spraw kolei północnych postanowiła starać się, aby dozwolono delegatom rady miejskiej brać udział w pracach komisji rządowej, odnoszących się do przeprowadzenia kolei Perm — Petersburg i przedsięwzięcia popierać starania rady miejskiej.

— Na zasadzie informacji, zebranych przez inspektorów podatkowych, stan zasiewów na południu Rosyi nie okazał się zadawalniającym; obok tego mnogość owadów, zwłaszcza na południu i południowschodzie, a nawet miejscami i w pasie średnim czarnoziemia okazuje się o wiele większą, jak zwykle.

— Donoszą z Petersburga, iż w radzie państwa odczytany będzie wkrótce projekt prawodawczy, którego celem jest zabezpieczenie przed fałszowa-

waniem znaków handlowych. Karane będzie więzieniem i grzywnami nietylko podrabianie cudzych stępli, banderoli i etykiet, ale wszelkie naśladowanie znaków, oraz bezprawne posługiwanie się cudzemi nazwiskami i wprowadzenie w błąd co do miejscowości, z którego towar pochodzi. W razie powtórzonego nadużycia nastąpi konfiskata towaru, niezależnie od wymierzenia kary.

— Liczba warszawskich cechów rzemieślniczych tak się pomnożyła, iż ma być wypracowanym projektem, w jakim porządku cechy z chorągwiemi swemi zajmować mają miejsce w pochodzie procesyi w dniu Bożego Ciała.

— W końcu bieżącego miesiąca, otwartą będzie w salach magistratu wystawa obrazów dawnego Muzeum Sztuk Pięknych, urządzona z inicjatywy p. Cyprjana Lachnickiego na korzyść War. Towarzystwa Dobroczynności. Muzeum to utworzone w 1862 r., mieściło się początkowo w gmachu należącym do szkoły sztuk pięknych, aż do 1871 r., w pałacu Paca; skoro następnie pałac ten zajął sąd okręgowy, zbiory muzealne przeniesiono do sal, mieszczących się przy szkole rysunku i malarstwa. Pierwszym dyrektorem tego muzeum był J. Karnicki, drugim Lachnicki. Etat muzealny istnieje jeszcze, jakkolwiek bardzo skromny; gdy w 1876 Muzeum zostało pozbawione własnego lokalu, Lachnicki dołączył do zbiorów muzealnych obrazy, należące do szkoły sztuk pięknych i corocznie przy zakupie obrazów starych mistrzów pomnażał tak ich zbiory, że od czasu zamknięcia Muzeum przybyło tu osiemdziesiąt obrazów wyższej wartości.

— Na wystawie Towarzystwa Zachęty sztuk pięknych zwraca uwagę portret pół figury kardynała Albini, pędzla artysty krakowskiego J. Krzesza, którego śmierć zabrała ze szkodą wielką dla sztuki naszej. Kardynał przedstawionym jest w szacie purpurowej. Mieści się też na wystawie portret Pługa (Pietkiewicza) i Zacharyasiewicza, a oba te portrety są bardzo podobne tak w rysach oblicza, jak i w wyrazie.

— Salon Artystyczny na Nowym-Świecie, ma ogłosić konkurs dla malarzy tak miejscowych, jak i chwilowo przebywających po za krajem na oryginalny obraz olejny, nie wystawiony poprzednio w Warszawie, a którego przedmiotem ma być głowa pięknej i młodej kobiety. Za okaz, odpowiadający najlepiej wymaganiom artystycznym, przeznaczono nagrody 100 rs., nagroda druga 75 rs. W głosowaniu na nagrodę I-ą i II-ą uczestniczyć będą tak artyści jak i publiczność, co do nagrody III, rozstrzygną wyłącznie głosy zwiedzających wystawę. Deklaracye w kopercie zapieczętowanej, zawierającej nazwiska twórcy dzieła, powinny mieć na kopercie te same znaki, jakimi podecyfrowany będzie obraz; należy je przesyłać pod adresem Salonu Artystycznego, Nowy-Świat, Nr. 27, najpóźniej do d. 20 września, obrazy zaś do 26. Koszta przesyłki obrazów Salon bierze na siebie. Wystawa mieści się w lokalu Salonu.

— Zarząd wystawy etnograficznej powziął zamiar odtworzenia mieszkań rozmaitych ludów, zaczynając od Grecyi. Pod kierunkiem prof. Gersona urządzono w jednej z sal wystawy komnatę grecką, mieszczącą obok odpowiednich sprzętów dzieła sztuki. W pogłębieniu jednej ze ścian w rodzaju sceny teatralnej przedstawiono jakoby wnętrze zamożnego domu ateńskiego za pomocą rzeźby, malarstwa i sztuki dekoracyjnej. Oko spotyka się z obrazem biesiady, urządzonej w sali z kolumnami doryckimi, między którymi widz dostrzega gości, a figury te wyszły z pod dłuta p. Maryi Gersonowej. W innej sali zastąpiono okna obrazami przejrzystymi, które dają złudzenie krajobrazów rozciągających się po za oknami, oko spotyka się ze Świątynią Zeusa w Atenach, z Akropolis.

Mieszczą się tu prawdziwe greckie sprzęty, pochodzące ze zbiorów p. Kolasińskiego.

— Towarzystwo ogrodnicze ogłosiło konkurs z przyznaniem nagród hodowcom roślin, otrzymanych od Towarzystwa. Konkurs rozstrzygnie się po upływie lat dwóch, w przeciągu których osoby ubiegające się o nagrodę obowiązane są przedstawiać Towarzystwu rośliny w oznaczonym czasie, aby można się było przekonać o ich stanie. Pierwsze takie oględziny odbyły się d. 21 w Bagateli na posiedzeniu członków komisji kwiatowej.

— Stanisław Smolka, profesor historii literatury w uniwersytecie jagiellońskim, oraz sekretarz jeneralny krakowskiej Akademii umiejętności, przybył do Częstochowy w celu zabrania biblioteki i zbiorów naukowych, gromadzonych przez całe lata przez zanego bibliofila, Skowrońskiego, który umierając zapisał je krakowskiej Akademii umiejętności.

— Krakowska kasa miejska oszczędności, prowadzona bardzo starannie przez Fr. Słęka, przeznaczyla z dochodów swoich z roku ubiegłego 7,500 zł. reń., na różne stowarzyszenia i instytucje humanitarne.

— W pierwszym i drugim dniu Zielonych Świątek, odbywać się będzie zwiedzanie kopalni wielkich, rzesisto w dniu tych oświetlonych. Wejście do kopalni, odbywać się będzie o w pół do pierwszej i w pół do drugiej tylko po schodach z powodu, że szyb zjazdowy przebudowywa się właśnie. Osobowy pociąg odejdzie z Krakowa do Wieliczki o godzinie 12-iej w południe, z Wieliczki do Krakowa o godzinie 6-tej wieczorem. Bilet kosztuje 2 zł. i centów 50.

— Miasto Kraków otrzymało od Sefera Paszy (Kościeleckiego) zapis zbrojowni i sześć rzeźb dłuta Brodzkiego oraz dwa obrazy Chlebowskiego.

M Y Ś L I

Wszyscy ludzie są niewolnikami czynów spełnionych, choćbyśmy nawet chcieli się ich wyrzec, choćbyśmy nawet zapomnieli o nich. Co się raz stało nie odstanie się już, nie cofnie w tył — nie przepadnie.

Dusza ludzka tak tryumfuje nad powłoką ciała, że zdolną jest upięknąć formy najgrubsze. Sokrates, którego rysy twarzy były bardzo brzydkie, stał się wysoce pięknym przez wyraz oblicza szlachetny.

Być kochanym, nie będąc zrozumianym, jest rzeczą tak smutną, jak czuć światło ciepła, a promieni jego nie widzieć.

Duch ludzkości wyraża się w pojęciach, wyobrażeniach się, sposobie myślenia, a zarazem praktycznie w życiu samem, które daje świadectwo myśli i uczuć społeczeństwa.

Do dzisiejszego numeru „Bluszezu“ dołącza się: powieść **Co jest szczęście?** przez Aleksandra Römpera. Przekład z niemieckiego, ark. 5.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ?? — Z wyżyn, przez Antoniego Pileckiego (wiersz). — W codziennej walce powieść współczesna St. Ariel. (dalszy ciąg). — Z Włoch, przez Augusta. — Trzy chwile, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dokończenie). — Tragedye i komedye zabobonu. Zabijające duchy. — Z bieżącej chwili. — Myśli.

Dodatek obejmuje: Co jest szczęście? powieść przez Aleksandra Römpera, przekład z niemieckiego ark. 5-ty. — Przegląd mód. 20 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.